

## Historia Mamy

### Dla moich dzieci

Moje życie nie było szczególnie interesujące, ale, być może trochę inne niż wszystkich, w szczególności w moim dzieciństwie. Bardzo często jestem zła za to, że zostałam okradziona z dzieciństwa, domu, dobytku, poczucia bezpieczeństwa i kraju, do którego prawnie przynależeliśmy – wszystko to przez tego szalonego człowieka, Hitlera. Musieliśmy porzucić wszystko, stracić cały dobytek, emigrować do tego dziwnego kraju, Ekwadoru, którego później nauczyłam się kochać i nadal Kocham. Odkąd wyjechaliśmy z Niemiec w maju, 1939, najpierw do Ekwadoru, potem w 1948 roku do Ameryki, zawsze czułam się jak przesadzane drzewo. Nigdy tak naprawdę nie zapuściłam korzeni w żadnym miejscu i nigdy nigdzie nie poczułam się jak w domu. Chociaż nasze życie w Ekwadorze było ciężkie, to właśnie miejsce pokochałam najbardziej. Byłam młodą, dwunastolatką i szybko się przystosowałam. Niemniej jednak, zawsze byłam i nadal jestem obcokrajowcem, ale znacznie bardziej - jestem sobą.

Jak już wiecie, urodziłam się 12 marca 1927 roku w Rastenburgu, Prusach Wschodnich, w Niemczech. Po drugiej wojnie światowej była to Polska. Hilde urodziła się w Gumbimen, także w Prusach Wschodnich, w Niemczech, 20 kwietnia, 1923 roku. Miałam jedną bardzo bliską, serdeczną przyjaciółkę. Jako, że pochodziła z biednej rodziny, praktycznie mieszkała w naszym domu. Po tym, jak Hitler doszedł do władzy musiała dołączyć do młodych szeregów i od tamtej pory już nigdy więcej na mnie nie spojrzała. To było bardzo bolesne. W naszej żydowskiej społeczności nie było dziewcząt w moim wieku, więc byłam całkiem samotna. Hilde miała paru przyjaciół, gdyż w jej grupie wiekowej było więcej osób. Hilde i ja nie byliśmy sobie bliskie w dzieciństwie, gdyż nic nas nie łączyło.

Moi rodzice byli całkiem wygodnymi ludźmi, byli z wyższej klasy średniej (jak większość niemieckich Żydów). Większość niemieckich Żydów była ludźmi interesu. Moi rodzice mieli sklep z materiałami takimi jak futra, metale, żelazo, itd. Mieliśmy dwie ciężarówki, szofera, dziewczynę do pracy w biurze. Mieliśmy także służbę w domu – jedną służącą dla Hilde, jedną dla mnie i jedną dla domu. Mieliśmy samochód- pięknego, niebieskiego Chevroleta. Wynajmowaliśmy powierzchnię sklepową, a mieliśmy ładny, dwurodzinny domek z dwoma piętremi na dole, które

były wynajmowane. Jedno piętro wynajmowaliśmy optykowi, który mieszkał zaraz za sklepem z żoną i dzieckiem. Był wielkim, wielkim Nazistą! Zwykłam schodzić, by pobawić się z ich małym synkiem i tam po raz pierwszy widziałam karykatury Żydów w gazecie zwanej „Der Sturmer”. Drugi sklep był ze zwierzętami. Nie było tam mieszkania. My mieszkaliśmy nad optykiem w ładnym, wygodnym mieszkaniu z dwoma sypialniami. Te mieszkanie było bardzo ładnie urządzone z dobrymi, ciężkimi meblami, które, jak sądzę, nadal gdzieś istnieją. W każdym pokoju był duży, glazurowany piecyk kaflowy, który był używany do ogrzewania pokoi. Każdy był innego koloru – wszystkie ładne i przytulne (nie było wtedy centralnego ogrzewania).

Nasz dom był moim niebem i ostoją bezpieczeństwa. Moja mama była wspaniałą panią domu, kucharką, piekarką. Byłyśmy sobie bardzo bliskie. Była ciepła i uczuciowa. Wszyscy krewni ze strony mojej matki tacy byli. W tym czasie, dzieci można było widzieć, lecz nie słyszeć. Niczego mi nie brakowało, może z wyjątkiem większej uwagi, docenienia, pieśczoł, pochwały, zachęty, itd. Ale miałam przyjaciółkę, przynajmniej przez kilka lat i było nam razem dobrze.

Uwielbiałam spędzać czas z moją matką w kuchni. Uwielbiałam pomagać jej i patrzeć jak gotuje i piecze i uwielbiałam smakować to wszystko. W każdy piątkowy wieczór moja matka urządzała wielką szabasową kolację. W każdy piątek piekła dwie wielkie, pyszne chałki i przygotowywała faszerowane ryby na różny sposób. Pamiętam jak pewnego roku Święta Bożego Narodzenia i Chanukę obchodziliśmy razem, gdy zaprosiliśmy wszystkich naszych pracowników do naszego domu, by obdarować ich prezentami. Każdy otrzymał swój „talerz obfitości”. To taki niemiecki zwyczaj. Mają wielkie, kolorowe, bożonarodzeniowe talerze, wypełnione smakołykami, ludzikami z piernika i mnóstwem marcepanowych czekoladek, itp. Oczywiście, Hilde najpierw kończyła swoje, z potem podkradała się do mojego talerza. Śmiała to robić. Ja oszczędzałam swój. W pewną Wigilię ja i Hilde byłyśmy zaproszone do domu mojej przyjaciółki. Mieli piękne drzewko ze świeczkami. Śpiewaliśmy piosenki bożonarodzeniowe i to po prostu było piękne. Było tak świątecznie, spokojnie. My nigdy nie mieliśmy drzewka bożonarodzeniowego.

Rastenburg było małym miasteczkiem, ale mieliśmy tam całkiem sporą kongregację żydowską i piękną nowoczesną synagogę. Moi rodzice mieli wielu przyjaciół, z którymi dużo się bawili. Wydawali przyjęcia z kolacjami, grali w karty itp. Krewni odwiedzali nas często, jako że żyli w

innych miasteczkach. Moi rodzice pochodzili z dużych rodzin. W każdej rodzinie było po ośmiu, dziesięciu dzieci. Niektóre z nich uciekły z Niemiec przed wojną, ale wielu z nich zginęło. Zakładam, że zmarli w obozach koncentracyjnych. Także wielu przyjaciół moich rodziców zmarło w obozach koncentracyjnych. Mieliśmy wiele ciotek, wujków i kuzynów. Większość z nich żyła w Königsberg, obecnie w Polsce, Gumbinnen, itd. Znałam tylko babcię ze strony mojego ojca. Wszyscy pozostali zginęli. Żyła w Gumbinnen, Prusach Wschodnich, w dużym domu, z dużym dziedzińcem, w którym była prawdziwa studnia z pompą i dużym ogrodem. Myślę, że ten dom należał do moich rodziców. Moja babcia nie była ani miła ani szczodra. Zawsze wydawała się zgorzkniała, może dlatego, że miała tak wiele dzieci (co najmniej dziesięć). Mój ojciec był jej ulubieńcem. Nie przypominam sobie, by wypowiedziała jakieś słowo podszyte miłością lub troską. Mnie ignorowała. Nigdy nie chciała, byśmy zjedli cokolwiek z jej ogrodu, w którym było wszystko: wszelkie jagody, słodki groszek, itd. Była tam wielka jabłoń, ale jabłka z niej były robaczywe. Był tam też piękny balkon. Hilde ma wspomnienia z tamtego okresu. Pamięta jak jedliśmy wszystko z tego ogrodu. Toaleta była na korytarzu, nie w samym mieszkaniu. Odkąd mieliśmy samochód, odwiedzaliśmy babcię często.

Latem, kiedy dni były bardzo długie (nie ściemnia się przed dwudziestą drugą) i po zamknięciu sklepu, moi rodzice zabierali swoich przyjaciół i nas i wyjeżdżaliśmy z Rastenburga nad piękne jeziora i do lasów na piknik i zostawialiśmy tam, aż się ściemniło. Miejsce, w którym żyliśmy było dobrze znane z jezior i lasów. Było nazwane „Mazurską krainą jezior i lasów”. Zwykliśmy zbierać truskawki, które były małe, pachnące i niesamowicie pyszne. To było fajne. Robiliśmy to także w niedziele i często ja i moja przyjaciółka wyprosiliśmy ich, byśmy wtedy zostały w domu. Uwielbiałyśmy to. Bawiłyśmy się na zewnątrz. To zaskakujące, że zostawiano nas samych w tak młodym wieku. Ale rodzice nie trzęśli się kiedyś nad swoimi dziećmi, tak jak robią to teraz. Nauczyłam się też jeździć na łyżwach i zwykłam to robić zanim zrobiło się ciemno. W miasteczku było jezioro i było też tam, gdzie mieszkaliśmy. Zimy były tak zimne, że jezioro zamarało. Nie wiem, jak głęboko sięgała tafla. Tam gdzie była najgłębsza robiono lodowisko. Latem, obok jeziora był basen i kąpielisko.

To o czym opowiedziałam do tej pory to były te dobre lata. Krótco trwały, bo jak tylko Hitler doszedł do władzy (w 1933) wszystko się zmieniło i miało już nigdy nie być takie same. Po

pierwsze, w całym miasteczku pojawiły się znaki, także w kinach (w miasteczku były dwa kina i dwa ładne hotele), na basenie, w sklepach, itd., z napisem „Zakaz wstępu Żydom”. Nawet w naszym domu optyk, który wynajmował u nas powierzchnię, miał wielki znak nad wejściem „Zakaz wstępu Żydom”. Jako, że byłam mała, trudno mi to było zrozumieć. W końcu, był to przecież nasz dom. Propaganda przeciwko Żydom nabierała na sile. Ludzi zachęcano do tego, by nie kupowali niczego od Żydów. Moja bliska przyjaciółka, o której wspominałam wcześniej, dołączyła do BDM (niemiecki klub dla dziewcząt) i z dnia na dzień, już więcej na mnie nie spozrzała. Byłam sama. W szkole, najpierw musieliśmy salutować Hitlerowi „Heil Hitler” kiedy zbieraliśmy się na dziedzińcu, zanim rozchodziliśmy się do klas. W klasie, musiałam siedzieć z tyłu, zupełnie ignorowana. Po szkole, w drodze do domu, dzieci nękały mnie i dręczyły, ale mnie nie biły. Jeśli moja pamięć mnie nie zawodzi, tylko raz dzieci mnie pobiły.

Cóż, w Niemczech było coraz gorzej i pamiętam, jak moi rodzice siedzieli w nocy przy radiu i słuchali szaleńca Hitlera, bredzącego wygłaszając swoje tyrady. Nie mniej jednak, mój ojciec musiał być wielkim optymistą, podczas kiedy matka błagała go, byśmy opuścili Niemcy zabierając swoje rzeczy i pieniądze, ale ojciec zawsze mówił – ‘będzie dobrze’. Więc nasz życie toczyło się dalej, spokojnie, aż do pamiętnej Kryształowej Nocy z ósmego na dziewiątego listopada 1938 roku.

Zapomniałam dodać, że przed Hitlerem, mieliśmy w domu gosposię i kogoś do pomocy przy Hilde i mnie, kiedy byłyśmy małe (lecz tego sama nie pamiętam). Potem, oczywiście, żadna żydowska rodzina nie mogła mieć służby, więc mieliśmy żydowską kobietę, dość młodą i trochę powolną, żeby pomagała mojej mamie w gospodarstwie domowym.

Kiedy moi rodzice wyjeżdżali na wakacje, siostra mojego ojca, nasza ciocia Frieda, przyjeżdżała zostać z Hilde i ze mną. Bardzo ją pokochaliśmy. Nie była mężatką i przyjeżdżała do nas często. Nie uciekła z Niemiec i jestem pewna, że zmarła w obozie koncentracyjnym razem z kilkoma naszymi ciociami i wujkami i kilkoma małymi kuzynami i wieloma przyjaciółmi moich rodziców.

Wtedy nadeszła „Kryształowa Noc”, z ósmego na dziewiątego listopada. Tej nocy wszyscy żydowscy mężczyźni zostali aresztowani. Wszystkie synagogi zostały spalone i wszystkie sklepy żydowskie zdemolowane. W większości wielkich miast zostały także zniszczone mieszkania a

meble i inne rzeczy wyrzucane przez okno. Nasz dom nie został zdemolowany. Czy okna sklepów żydowskich były wybite, nie przypominam sobie, ale nasza przepiękna synagoga została spalona. Hilda w tym czasie była w Królewcu, przyuczała się do zawodu krawcowej. Mieszkała z ciotką Clairchen. Nie wiem jak długo tam pozostała. Nazajutrz, po Kryształowej Nocy wróciła do domu. Podczas tej nocy, jak pamiętam, wstałam i poszłam do holu, gdzie niemiecki żołnierz SS rozmawiał z mamą. Mój ojciec został już aresztowany i nie było go w domu. Ten żołnierz nie był okrutny, nie skrzywdził nas w jakikolwiek sposób. To wszystko, co pamiętam z tej nocy.

Następnego ranka przypominam sobie jak stałam w dużym pokoju, który wyglądał oknami na ulicę i zobaczyłam wszystkich żydowskich mężczyzn maszerujących, prowadzonych na stację pociągową, by odjechać do obozów koncentracyjnych. Mój ojciec został zabrany do więzienia w Mitgeten. Nie wiem na jak długo. Może na kilka tygodni lub dłużej. Jeden z dalekich krewnych mojego ojca, który mieszkał w Ameryce, wysłał nam oświadczenie dla mojego ojca, by mógł emigrować do Ameryki. Oczywiście, bez nas nie wyjechał.

Po południu, po „Nocy Kryształowej”, moja matka, Hilde i ja poszliśmy do przyjaciół moich rodziców, którzy zamieszkiwali we własnym mieszkaniu, podobnym do naszego, zaraz obok naszej synagogi. Wiele rodzin żydowskich mieszkało w tym domu. Nazwisko tej rodziny: Epstein. Jeśli dobrze pamiętam, byli w wieku średnim, ale mieli młodego syna. Pan Epstein był prawie niewidomy i unieruchomiony na tyle, że ledwo chodził. Nie został aresztowany w tę noc. Podczas naszej wizyty tego popołudnia (myślę, że wizyta miała charakter raczej pocieszający), pan Epstein zabrał mnie na stronę, położył mi ręce na głowie i pobłogosławił mnie. Coś czego nigdy nie zapominałam i nie zapomnę. Krótco po tym rozległ się dzwonek u drzwi, weszli dwaj mężczyźni Gestapo, zabrali pana Epsteina, każdy pod jedno ramię i aresztowali go, prawdopodobnie nikt już go nigdy nie zobaczył. Nie wiem co się stało z wieloma przyjaciółmi moich rodziców; prawdopodobnie ten sam los ich spotkał co miliony innych Żydów. Mam fragmenty listu od przyjaciółki moich rodziców, w którym pisze jakby kodem, co działo się w Niemczech. Na przykład, pisze, „jeśli już od nas nie otrzymacie wiadomości, prawdopodobnie wyjechalibyśmy na wakacje”, itp. To był ostatni list.

Z tym oświadczeniem i żelaznym krzyżem, który mój ojciec dostał podczas pierwszej wojny światowej, moja matka była w stanie uwolnić go z obozu koncentracyjnego lub więzienia, gdziekolwiek mężczyźni zabrano. Kiedy wrócił do domu, myślę, że zdał sobie sprawę z tego, że to już najwyższy czas opuścić Niemcy. Nawiasem mówiąc, po dziewiątym listopada 1938 roku nie wolno mi było uczęszczać do szkoły. Miałam wtedy jedenaście lat. Moi rodzice poważnie rozglądali się za miejscem, do którego moglibyśmy emigrować. Większość krajów już zamknęła swoje granice dla Żydów. Pamiętam jak siedzieli przy biurku (naprawdę pięknym biurku, z ciemnego drewna, które musiało ważyć tonę), zastawionego literaturą i dokumentami, dyskutując, zadając sobie pytania. Mój ojciec był w stanie otrzymać wizy dla nas wszystkich do Urugwaju, Południowej Ameryki, z które, jestem pewna, musiał zapłacić krocie. Myślę, że wszystkie aktywa były zamrożone przez rząd. Ale może pozwolono nam użyć pieniądze, by kupić wizy. Naprawdę nie pamiętam wszystkich szczegółów, jako że miałam wtedy jedenaście lat. To była sprawa moich rodziców. Moją było ich słuchać i udać się tam, gdzie oni. Muszę wspomnieć o jednym zanim będę opowiadała co dalej.

W tym trudnym okresie, Anglia wydała zgodę na ocalenie dzieci żydowskich i w całych Niemczech dzieci z domów żydowskich mogły być zarejestrowane przez rodziców, by wysłano je transportem do Anglii. Wtedy, jak przypuszczam, były wysyłane do różnych rodzin lub krewnych, jeśli takich miały. Wprawdzie, drugi mąż mojej przyjaciółki, Max, pojechał takim dziecięcym transportem do Anglii do jakiś krewnych i był traktowany bardzo źle. Był wykorzystywany. To doświadczenie wystraszyło go do końca życia.

Niemniej jednak, moja mama pojechała ze mną i z Hilde, by zarejestrować nas do transportu do Anglii. Od tej pory wisały nade mną ciemne chmury i byłam przerażona, że pewnego dnia zostanę tam wysłana. Gdyby tak się stało, myślę, że zwiędłabym i umarła. Myśl o tym, że miałabym opuścić moją matkę była niezrozumiała dla mnie! Nie mogłam wytrzymać bez niej nawet jednej nocy, żebym się nie pochorowała. Raz próbowałam być bardzo dzielna i pojechałam odwiedzić z Inge ciocię Clairchen w Królewcu. Mój wujek pojechał z nami (mieszkał w Królewcu) i zabrał mnie ze sobą z powrotem, kiedy wracał pociągiem. To nie był mąż Clairchen, jako, że była rozwiedziona. Claire pracowała w hotelu i Inge i ja pojechałyśmy tam. Od razu zaczęła szeptać z dwoma chłopakami, synami właścicieli – i to mnie załatwiło. Byłam zbyt nieśmiała i wrażliwa i tej

nocy poczułam się tak nieszczęśliwa, że się rozchorowałam. Dlatego też następnego dnia wróciłam do domu. Odprowadzili mnie do pociągu. To samo przydarzyło mi się, kiedy moi rodzice pewnego razu wyjechali z miasta i musiałam zostać na noc z ich przyjaciółmi. Zostałam w łóżku przez cały dzień i noc i byłam chora. To żałosne być tak nieśmiałą i lękliwą.

Jak już wcześniej wspomniałam, mój ojciec otrzymał wizy dla nas do Urugwaju. Teraz mieliśmy za zadanie spakować nasze gospodarstwo domowe. To wszystko miało miejsce na początku 1939 roku. Moim rodzicom musiało być bardzo ciężko. Mama była strasznie nieszczęśliwa. Nie pamiętam szczegółów, ale pamiętam, że byłam tam, kiedy przyszli pakowacze, by spakować nasze rzeczy w wielkie drewniane skrzynie po to, by zawartość przetrwała podróż przez pół kontynentu. Nie wzięliśmy, a raczej nie mogliśmy wziąć ze sobą mebli. Słyszeliśmy, że noce w Południowej Ameryce, z wyjątkiem wybrzeża, były bardzo zimne, więc rodzice zdecydowali, że weźmiemy kołdry z pierza z nami, nie będziemy wysyłać ich w skrzyniach. To dobra decyzja, bo noce w Andach były bardzo zimne (na dziewięciu tysiącach stóp wysokości).

Hilde i ja miałyśmy piękną lalkę. Tak bardzo chciałam zabrać ją ze sobą, ale mama powiedziała, że lepiej będzie, jeśli spakujemy ją do skrzyni. Taki był koniec mojej lalki, bo naszych rzeczy już nigdy nie ujrzeliśmy. Nigdy nie otrzymaliśmy tych skrzyń. Nie sprzedaliśmy lub nie pozwolono nam sprzedać domu. Wszystko było skonfiskowane i konta bankowe moich rodziców były zamknięte przez rząd. Przypuszczam, że mogliśmy pobrać z kont tyle, ile potrzebowaliśmy, gdybyśmy mieli specjalne pozwolenie, ale nie jestem tego pewna.

Kiedy wszystko już było spakowane, opuściliśmy nasz uroczy dom i pojechaliśmy do babci, by się pożegnać. Skrzynie pojechały do portu w Hamburgu, by być następnie wysłane do Urugwaju. Urugwaj wydawał się pięknym miejscem, nowoczesnym i bardzo europejskim. Zatrzymaliśmy się na kilka dni u babci i pewnego dnia mój ojciec otrzymał list. W liście było napisane, że nie wolno nam wsiąść na pokład statku do Urugwaju, bo wizy były fałszywe i nie pozwolono by nam zejść ze statku po przybyciu na miejsce. (Właśnie obchodziłam moje dwunaste urodziny w domu mojej babci. Lepiej powiedzieć, że ukończyłam dwanaście lat, bo oczywiście, nikt nie świętował. Nawet nie wiem, czy ktokolwiek zauważył ten fakt. Nigdy nie miałam przyjęcia urodzinowego kiedy byłam mała. Pamiętam jak raz otrzymałam skórzany portfel a raz zestaw do manikiuru).

Wróćmy do fałszywych wiz. Na pewno był to ogromny szok dla moich rodziców, bo teraz mój ojciec musiał szukać innego kraju, który nadal przyjmowałby Żydów. Nie zostało ich już wiele... Myślę, że tylko Paragwaj, Boliwia i Ekwador w Ameryce Południowej. Wszyscy opuściliśmy dom mojej babci i pojechaliśmy do Berlina. Zatrzymaliśmy się tam u cioci Róży, siostry mojego ojca, która zaopiekowała się Ingrid. Ingrid zawsze była miłą, dobrze się dogadywałyśmy.

Mój ojciec w tym czasie codziennie odwiedzał inny konsul, by próbować dostać dla nas wizy. Mogę sobie wyobrazić, że kiedy był w konsulacie doświadczał podekscytowania i smutku. Przypuszczam, że mógł mieć wtedy pierwszy zawał serca, o którym nikt się nie dowiedział. Więc, po tygodniach prób, w końcu udało mu się otrzymać wizy dla nas wszystkich, do Ekwadoru. Mało wiedzieliśmy o Ekwadorze. Myślę, że moi rodzice dostali jakieś książki o Ekwadorze, ale były prymitywne, w kiepskim stanie i miały w środku robaki! Moi rodzice wykupili rejs liniowcem oceanicznym S.S. Caribia. Pojechaliśmy do Hamburga i weszliśmy na pokład statku i w tym momencie czarna chmura, która wisiała nade mną, podniosła się, gdyż wiedziałam już, że nigdy nie będę musiała jechać do Anglii i tym samym, opuścić moją mamę. Nie ważne było, dokąd teraz zmierzaliśmy.

Z początkiem maja opuściliśmy Hamburg. Caribia był to luksusowy niemiecki liniowiec; nie tak wielki jak robią teraz, ale bardzo piękny, dość elegancki, nieostentacyjny. W gruncie rzeczy, Niemcy nie są ostentacyjnymi ludźmi. Mój ojciec wykupił bilety pierwszej klasy, ale dali nam kabiny klasy drugiej. Hilde i ja dzieliłyśmy jedną kabinę, a rodzice drugą. Były dość małe, z łóżkiem przy łóżku ale ładne. Wszystko poza tym było z pierwszej klasy. Było piękne. Byliśmy traktowani jak każdy inny, nie jak „Żydzi”. Kiedy już jesteś na międzynarodowych wodach, nie ma żadnej dyskryminacji. Jadalnia była niesamowita. Basen był piękny. Jedzenie było wyśmienite z porannymi przekąskami i popołudniową kawą, herbatą i ciastami w pięknym herbacianym pokoju, gdzie grał zespół na żywo, a szklany dach otwierał się. Kiedy już dotarliśmy do tropików, były kolacje o północy dla każdego, kto sobie zażyczył. Oczywiście, ja byłam zbyt młoda, poszłam raz czy dwa. Kilka razy byłam zaproszona, by zjeść przy stole kapitana, co było wielkim wyróżnieniem. Na pewno było im nas szkoda, wiedząc, co spotka nas w Ekwadorze. W końcu było to nasze ostatnie „hura!”



Zapomniałam wspomnieć, że na początku naszej podróży, jak tylko przekroczyliśmy Kanał Angielski, my i każdy inny pasażer na pokładzie zachorowaliśmy na chorobę morską. Myślę, że trwało to przynajmniej dwie noce i trzy dni zanim stewardzi zmusili nas do tego, byśmy wyszli z łóżek i udali się schodami na pokład, na zewnątrz. Wtedy poczuliśmy się lepiej. Wtedy dostaliśmy się w strefę tropikalną. Ja byłam zajęta. Uczyłam się pływać z instruktorem (bademeister). Moi rodzice byli zajęci swoimi sprawami. Hilde kochała się w liderze zespołu. Czas mijał. Myślę, że podróż zajęła prawie trzy tygodnie.

Caribia doплыnęła do Panamy, Colon – tam gdzie musieliśmy wysiąść. To tam nasze życie zmieniło się na zawsze (znowu). Z miasta Panamy nasz statek przepłynął przez słynny Kanał Panamski. Zajęło to kilka godzin i było bardzo interesujące. Nasze pierwsze zejście na ląd w Południowej Ameryce było w Wenezueli. Zeszliśmy na ląd w „La Guaira” – małej dziurze na wybrzeżu Wenezueli. Bieda, nieznośny upał i brud były nie do opisania. Czarni ludzie, którzy tam żyli wydawali się wysuszeni. Żyli w chatkach ze szmatą zamiast drzwi. Było okropnie. Nie daleko stąd, w górach, była stolica Wenezueli, Caracas, która miała być bogata, elegancka i piękna. Nie pojechaliśmy tam, jako że dokowaliśmy u wybrzeża tylko jeden dzień. Mijaliśmy Azory – grupę wysp na Oceanie Atlantyckim – przepiękny widok. Na wybrzeżu Ameryki Południowej mieliśmy kilka przystanków. Przy jednej wyspie nie mogliśmy podплыnąć zbyt blisko, prawdopodobnie dlatego, że wody były zbyt płytkie. Mnóstwo czarnych dzieci podплыnęło do statku i nurkowało w poszukiwaniu pieniędzy, które pasażerowie wyrzucali do wody.

Caribia kontynuowała swoją podróż wzdłuż Ameryki Południowej i przystanęliśmy w jakiejś noclegowni (prowadzonej przez Europejczyków), gdzie dzieliliśmy duży pokój, śpiąc z wieloma innymi ludźmi. Łóżka były przedzielone jakimiś prześcieradłami lub innymi „szmatami” i siatkami na komary. Myślę, że w Panamie spędziliśmy około tygodnia lub więcej, gdyż musieliśmy przesiąść się na inny liniowiec z Panamy do Guayaquil, w Ekwadorze i musieliśmy czekać na połączenie. Panama była niesamowicie gorąca i wilgotna. To tam po raz pierwszy widziałam czarnych ludzi. Moja mama była bardzo nieszczęśliwa, cierpiała, ale mój ojciec nie. Był szczęśliwy, pewny siebie i nic go nie martwiło. Mnie także nic nie martwiło. W końcu, byłam dzieckiem, a to była przygoda. Podczas pobytu w Panamie, Caribia wróciła z dalszej podróży po Ameryce Południowej i znów zatrzymała się w Panamie, przed powrotem do Niemiec. Hilde i ja poszliśmy

do portu, by odwiedzić ludzi na pokładzie. Kapitan odesłał mnie do domu z dużą ilością smakołyków i puszek z kiełbaskami, itp. Naprawdę musiało mu być nas szkoda.

Jedynе jedzenie, które pamiętam z Panamy to śniadania. Jedliśmy długie pajdy białego chleba, które były twarde, nieświeże i gumowate. Trzeba było je rozrywać. Prawdopodobnie dostawali je raz w tygodniu. Niczego innego, co było do jedzenia, nie pamiętam. Po jakimś tygodniu czy dwóch weszliśmy na pokład innego liniowca, który zabrał nas do kresu naszej podróży, do naszej nowej ojczyzny – Ekwadoru. Był to wielki, amerykański, luksusowy liniowiec o nazwie „Santa Lucia”. Kabiny były piękne. Każdy pokój miał telefon i mogliśmy dzwonić do pokoju rodziców. Ta podróż trwała tylko kilka dni aż dobiliśmy do Guayaquil, portu w Ekwadorze. W Guayaquil wynajęliśmy pokoje w hotelu, który miał klub nocny na dole, więc muzyka i hałas nigdy nie cichły. Guayaquil było bardzo gorące i wilgotne. Mieliśmy tam komary, karaluchy, świerszcze i kto wie jeszcze jakie stworzenia. Pewnej nocy była tam inwazja świerszczy. Są podobne do tych wielkich, zielonych. Przybyła straż pożarna i zmyła je z przewodów elektrycznych i ulic. Karaluchy pożerały nasze ubrania. Moja mama była nieszczęśliwa nie do opisania. Nie mogła znieść tego upału i wilgoci. Wielokrotnie kładła się do łóżka, pod moskitierę, a my ją wachlowaliśmy. Na śniadanie zawsze była obrana pomarańcza dla każdego, tam, gdzie muchy miały ucztę zanim zeszliśmy na śniadanie. To cud, że nie zachorowaliśmy na malarię lub tyfus. Popołudniami siadaliśmy przed hotelem, gdzie były stoliki i krzesła i rozmawialiśmy z wieloma innymi imigrantami. Myślę, że tam mój ojciec zasięgał informacji gdzie można się udać i otrzymał nazwiska ludzi, z którymi mógłby rozmawiać. Pewnego popołudnia, pewien elegancki pan (jeden z imigrantów, jako, że nikt z nas nie mówił po hiszpańsku) usiadł przy mnie i mieliśmy uroczą pogawędkę. Pamiętam, jak powiedział mi, że byłam bardzo inteligentną dziewczynką i powinnam czytać dużo gazet, co pozwoli mi zdobyć dobrą edukację. To musiał być pierwszy raz w moim życiu, kiedy ktoś rozmawiał ze mną uczciwie i odniósł się do mnie osobiście. Niezwykle jest to, że wiele lat później, kiedy już mieszkaliśmy w Nowym Yorku, podczas małego przyjęcia, pewien miły starszy pan powiedział mi dokładnie to samo (ale do dnia dzisiejszego nienawidzę gazet).

Sądzę, że w Guayaquil przebywaliśmy około tygodnia a potem udaliśmy się na pociąg do Riobamba, wysoko w Andach (kilka godzin podróży). Riobamba było jednym z najsmutniejszych, przeraźliwych, depresyjnych, zimnych i brudnych miast, jakie kiedykolwiek widziałam. Kiedy

dotarliśmy tam późnym popołudniem, moi rodzice wynajęli dwa pokoje w hotelu przy stacji kolejowej. (Muszę przyznać, że Ekwador był wtedy bardzo prymitywny, tak jak jego kolej, samochody, autobusy itd.). Poszliśmy na spacer przy stacji w obszarze leśnym pełnym drzewek eukaliptusowych. Zapach eukaliptusów był obłądny, niemalże przyprawiający o mdłości i depresjonujący. Wtedy udaliśmy się do hotelu! Tylko w bardzo starych filmach, gdzie pijacy wynajmowali pokoje, zobaczylibyście coś, co my dostaliśmy. Bardzo mały pokój z jednym łóżkiem. Myślę, że był tam mały zlew, zimna woda i może mała komoda. Jedna, goła żarówka na suficie... I to wszystko. Było zimno i przerażająco, co najmniej i bardzo smutno. Nie zatrzymaliśmy się na dłużej w Riobamba. Pamiętam, jak mój ojciec rozmawiał z kobietą, która prowadziła coś jakby sklep. Może od niej otrzymał informacje o tym, gdzie moglibyśmy wynająć jakąś małą farmę, itp. Więc naszym kolejnym celem podróży była mała wioska nazwana „Chambo”, niezbyt daleko od Riobamba. Tam mój ojciec wynajął ładny, duży dom z ziemią pod uprawę.

Pewnego dnia nabyliśmy współlokatorów. Nie mam pojęcia jak to się stało, gdyż nikt z nami o tym nie dyskutował, niczego nam nie powiedziano. Pojechaliśmy po prostu tam, gdzie nasi rodzice. Dom był ładny, schludny, w hiszpańskim stylu, ale nie było w nim kuchni, toalety ani łazienki. W Chambo nie było elektryczności więc używaliśmy lamp naftowych. Pierwsze, co mój ojciec zrobił to wybudowanie wychodka. To oznaczało wykopanie dołu i ławeczki nad nim z dziurą w niej wyciętą, po to, by na niej usiąść i to wszystko w drewnianej zabudowie. Było bardzo eleganckie. Ojciec musiał być bardzo zręczny. Ale wychodek był dość daleko od domu, a noce w Andach naprawdę ZIMNE! Nie przypominam sobie, byśmy używali papier toaletowy, może gazety, ale nie przypominam sobie, byśmy mieli jakiegokolwiek gazety w Chambo!

Następną rzeczą, którą mój ojciec wybudował to piecyk ceglany, po to, by mama mogła w nim piec chleb, który mój ojciec i współlokator sprzedawali w Riomba. Kupili małą ciężarówkę (camioneta), by być w stanie się tam dostać. Nie mam pojęcia kiedy lub skąd ci lokatorzy się zjawili. Byli dość młodą parą. On był rudzielcem, a ona chudą kobietą. Wybudowali nam łóżka. Mieliśmy łóżka i wielki drewniany stół z krzesłami w jadalni. Były bardzo prymitywne. Hilde i ja dzieliliśmy jeden pokój. Mieliśmy pokój narożny. Okna były wysokie, a w wykuszu mogliśmy siedzieć na ławach okiennych. Prawie co noc kilku młodych mężczyzn przychodziło pod nasze okna z gitarami. Śpiewali nam serenady. Okno było otwarte, a Hilda i ja siedzieliśmy na ławie

okiennej. Moi rodzice mieli jeden pokój. Pan i pani Nash (lokatorzy) mieszkali w jednym pokoju. Mój ojciec miał biuro. Mieliśmy swoją jadalnię i jeszcze jeden pokój, który stał się kuchnią. Mieliśmy duży, drewniany stół, tam gdzie moja mama piekła i gotowała. Zaraz na zewnątrz kuchni ojciec wybudował piecyk ceglany. Był tam także wielki, cementowy zlew, w którym prało się rzeczy. Był wielki i kwadratowy z podziałkami – jedną na pranie z szorowanie blokiem cementu, a drugą na płukanie prania. Woda była jak lód, jako, że przebywaliśmy wysoko w górach. Raz czy dwa wykąpałam się tam. Moja mama podgrzała nam wodę. Nie pamiętam, żebyśmy się kiedykolwiek jeszcze tam kąpali. Musieliśmy myć tam również naczynia, jako, że nie było w domu bieżącej wody. Mieliśmy tylko wychodek (toaletę). Tam też nie było wody. Myślę, że było coś w rodzaju drewnianego piecyka do gotowania, bo mama gotowała dla nas wszystkich. Moja biedna mama. Tak ciężko pracowała. Nigdy już więcej nie widziałam jej szczęśliwej od czasu wyjazdu z Niemiec.

Pewnego razu, w Chambo, moja mama zaczęła piec najpyszniejszy żytni chleb. Robiła także sery i chałki. Nie pamiętam, co jeszcze robiła. Co kilka dni mój ojciec i lokator, pan Nash jechali małą ciężarówką do Riobamba i sprzedawali to, co zrobiła mama. Przypuszczam, że sprzedawali do sklepów. Nie rozdawali tego. Raz czy dwa pojechałam z nimi na tyle ciężarówki. Ależ to była przerażająca przejażdżka! Najpierw, zjeżdżaliśmy w dół bardzo wąską, krętą drogą prowadzoną przez góry, potem pod górę do Riobamba. Po jednej stronie drogi były góry, po drugiej stromy spad do rzeki Chambo. Droga była tak wąska, że dwa samochody nie mogły się minąć. Byłam przerażona.

Spędzałam dużo czasu z mamą w kuchni. Uczyłam się jak zagniatać chleb, a potem piekłam go trochę dla siebie. Jak już wcześniej wspomniałam, mama była dla mnie wszystkim. Raz, kiedy gotowała, poczęstowała mnie czymś z garnka. Kiedy pani Nash weszła, zwróciła mamie uwagę i zapytała ją dlaczego częstowała mnie czymś z garnka. Nie pamiętam, co dokładnie jej powiedziała, ale przysięgłam sobie wtedy, że odkąd już będę dorosła i niezależna nikt nigdy nie będzie mi mówił, co mogę jeść, skąd i kiedy. Ten mały incydent musiał wyrzucić na mnie wrażenie, gdyż nigdy już o nim nie zapomniałam.

W naszej małej hacjendzie uprawialiśmy ziemniaki i warzywa. Mieliśmy kurczaki i dwa konie. Nie pamiętam, czy mieliśmy krowy, ale pamiętam, że co noc oddzielaliśmy śmietankę od mleka. Mleko nalewaliśmy do wirówki – pewnego rodzaju ręcznie sterowanego urządzenia, które oddziało śmietankę od mleka. Mleko, które potem zostawało było chude. Gdy było zostawione na kilka dni, stawało się gęste i robiła się z niego kwaśna śmietana, coś jak jogurt. Było naprawdę smaczne. Ze śmietanki robiliśmy masło, także ręcznie w maselnicy. Pomagałam przy tym wszystkim i uwielbiałam to. Zbierałam jajka, dbałam o konie, wykopywałam ziemniaki itd. Podczas wykopywania ziemniaków wyłaziły z ziemi wielkie, grube pędraki, niezbyt ładne stworzenia.

Ludzie w Chambo i jego okolicach byli dobrzy, mili, cudowni i traktowali nas, jakbyśmy byli wysłańcami Boga. Bez wątpienia, byliśmy pierwszymi białymi ludźmi, jakich kiedykolwiek widzieli. Każdego dnia ktoś nas odwiedzał i przynosił nam podarunki przyjaźni. Były to na przykład marchewki, ziemniaki lub kurczaki. Pewnego dnia przynieśli nam dwa gołębie – samiczkę i samca. Pokochałam te gołębie i uwielbiałam na nie patrzeć. Nigdy nie podejmowały prób ucieczki i czuły się u nas jak w domu. Może miały podcięte skrzydełka! Spały pod dachem i całymi dniami przesiadywały na balustradzie.

Pewnego dnia ktoś przyniósł nam szczeniaka, oczywiście kundelka. Jak pokochałam tego pieska! Oddałam mu całą miłość, jaką miałam. Rozpuszczałam go, przekarmałam i stał się najbardziej szalonym, dzikim, niegrzecznym psem wszechczasów. Zawsze knuł jakieś psoty. Kiedy moja mama wywiesiła pranie na podwórzu, pies gonił na około podwórza, podskakiwał, ściągał jakieś ubrania i biegał z nimi wokół jak „meshuggene” (wariat). Biedny, nie potrafił inaczej. W pewien piątkowy wieczór moja mama upiekła dwie chałki i ułożyła je na stole, przykryła je wielką serwetą, ale zanim usiedliśmy, by je zjeść, najpierw musieliśmy zająć się mlekiem i przepuścić je przez wirówkę. Kiedy już skończyliśmy, wróciliśmy do jadalni, a na środku stołu, gdzie wcześniej były dwie chałki, leżał mój pies, rozciągnięty, nie będący w stanie się poruszyć jako, że pożarł dwie całe chałki, nie zostawiając nawet okruszka. Był to naprawdę uroczy widok, ale jestem pewna, że nikt tego nie docenił.

Pewnego dnia zauważyliśmy, że nasza samiczka gołębia nie zeszła na dół, a samiec był bardzo smutny. Wspięliśmy się na górę (nie wiem, kto wspinał się oprócz mnie) pod dach, by zobaczyć co

się stało. Gołąbek złożył jajka, wysiadywał je na gnieździe i przypuszczalnie jakiś szczur lub inne zwierzę zabiło go i pożarło wszystkie jajka, były tam tylko pozostałości gołąbka i gniazdka. To było bardzo smutne, ale co gorsza, pewnego dnia nie zobaczyliśmy samczyka. Gdy przeszukaliśmy wszystko, znaleźliśmy go w końcu w stajni trzęsącego się i chorego. Pies – wariat złapał go i wyrwał mu pióra z grzbietu. Moja mama i ja opiekowałyśmy się biednym gołąbkiem, wcierałyśmy mu maść w grzbiet, zrobiłyśmy mu miłe, ciepłe gniazdko, ale i tak zmarł.

Więc nasze życie toczyło się swoją rutyną jeszcze przez kolejnych kilka miesięcy. Myślę, że do Chambo przybyliśmy gdzieś w czerwcu. Dnia 28 grudnia, takiego jak każdy inny, mój ojciec planował pojechać do Riobamba z panem Nashem jak zwykle, lecz tym razem Hilde zdecydowała się jechać z nimi. Podczas wielu swych wycieczek do Riobamba, mój ojciec zaprzyjaźnił się z europejską rodziną Schwarzkopf. Kiedy ojciec kończył sprzedaż, często udawał się do nich przed powrotem do domu. Tego dnia, 28 grudnia mój ojciec otrzymał list od swojej matki (mojej babci) z Niemiec i bardzo posmutniał. Nie wiem, co dokładnie było w liście, gdyż nigdy go nie przeczytałam, ale było oczywiste, że list był smutny. W międzyczasie wybuchła w Niemczech wojna i mój ojciec czuł się z tym bardzo źle, że nie mógł pomóc swojej rodzinie wydostać się z Niemiec. Więc, tego ranka, wyjechali do Riobamba. To, co usłyszałam tego popołudnia (byłam w swoim pokoju) był krzyk mojej matki, gdyż przywieźli mojego ojca martwego. Oczywiście, nie czuł się dobrze i wszyscy pojechali do domu Schwarzkopfów. Ci wezwali lekarza, ale nie udało mu się ocalić mojego ojca. Przypuszczam, że mój ojciec doznał rozległego zawału serca. Na akcie zgonu było napisane „dusznica bolesna”. To było straszne – widzieć moją mamę w takim stanie. Ja osobiście nie czułam się aż tak nieszczęśliwa, gdyż nigdy nie byliśmy sobie z ojcem bliscy. Jeśli tylko mama była ze mną – miało to dla mnie znaczenie.

Zastał nas wszystkich koszmarny mrok. Moja mama była tak nieszczęśliwa, została sama z dwójką dzieci, Hilde, lat szesnaście i mną, lat dwanaście. Nie mieliśmy pieniędzy, nikogo, do kogo mogliśmy się zwrócić, nie znaleźliśmy języka, nikogo, kogo moglibyśmy zwrócić się o poradę, kto mógłby nam pomóc. Ludzie z Chambo byli dla nas cudowni. Ułożyli ojca w swoim urządzie. Wielu przychodziło i zostało z nami – dzień i noc. Ojca pochowaliśmy na cmentarzu katolickim. Grób całkowicie zamknęliśmy cementem, według tradycji żydowskiej. Kiedy wróciliśmy tam po dwudziestu pięciu latach, grobu już tam nie było. Musiał zapaść się pod ziemię.

Mój ojciec miał czterdzieści cztery lata kiedy zmarł. Dni i miesiące po śmierci mojego ojca były ciche, ponure, depresyjne, smutne, a moja mama stała się nieobecna. W tym czasie, mieszkańcy tych ziem na pewno obchodzili wiele świąt. Urządzali procesje na ulicach Chambo, smutno śpiewając pogrzebowe melodie, niosąc posągi różnych świętych, dymiąc kadzidła wzdłuż drogi. Zwykłam stać w oknie i obserwować, bardziej samotna niż kiedykolwiek, czułam smutek. Na pewno byłam w depresji, ale nie potrafiłam wtedy tego nazwać. Kiedy mój ojciec jeszcze żył, pewna ekwadorska rodzina zaprzyjaźniła się z nami i nawet raz zaprosili nas na obiad. Byli miłymi ludźmi i mieli córkę w moim wieku, ale była między nami bariera językowa – nie mogliśmy się porozumieć. Dlatego nic nie wyszło z tej znajomości. Raz na jakiś czas, kiedy było święto wszyscy szli na „Plaza”, wielki plac, na końcu którego stał kościół i budynki rządowe itp. Hilde i ja też chodziłyśmy. Grano tam muzykę i było dużo ludzi, chociaż nie było elektryczności. Kiedy już raz się człowiek przyzwyczai do ciemności, może dobrze w niej widzieć.

Znów muszę podkreślić jak bardzo uprzejmi i pełni szacunku byli Ekwadorczycy. Nikt nie próbował nas wykorzystać, nikt nas nie prześladował. Pewien młody chłopak zaprzyjaźnił się ze mną. Miałam co najwyżej trzynaście lat, a on był starszy. Był tak uprzejmy, dobry, miły, że kiedy opuszczaliśmy Chambo podarował mi obrazek, liścik i piękną chustkę. Nadal przechowuję ten obrazek i liścik w moim albumie.

Nie sądzę, żebyśmy dłużej pozostawały w Chambo po śmierci mojego ojca. Myślę, że mojej mamy nie było więcej stać na życie tam. Nasza trójka wyjechała do Riobamba. Tam mama wynajęła dwa pokoje. Toaleta była tam na zewnątrz, zarówno jak prowizoryczna kuchnia, która była wielkości szafy. Jeśli dobrze pamiętam kuchnia miała dwa naftowe palniki. Nie kojarzę, gdzie była woda. Moja mama podjęła pracę kucharki u ekwadorskiej rodziny. Pozwolono mi przebywać z mamą. To był okropny okres dla mnie. Obie jadłyśmy w jadalni z rodziną. Byłam zbyt nieśmiała, by nałożyć sobie odpowiednią ilość jedzenia. Miałyśmy mały pokój z łóżkiem i małą komodą. Najlepszy czas był dla mnie wtedy, kiedy szłyśmy spać i wczłógiwałam się do łóżka mamy. Byłam nieszczęśliwa i myślę, że moja mama także, bo nie zostałyśmy tam długo. Ani też nie zostałyśmy długo w Riobamba.

Prawie zapomniałabym powiedzieć co stało się z moim ukochanym psem, którego miałam w Chambo. Kiedy się stamtąd wyprowadzaliśmy, nie wiedzieliśmy co z nim zrobić. Nasi współnicy gonie chcieli. Pan i Pani Schwartzbaum w Riobamba powiedzieli, że go wezmą i tak też zrobili. Sądzę, że mieli ziemię niedaleko Riobamba i tam właśnie był nowy dom mojego psa, gdzie był samotny i przywiązany do długiego łańcucha. Może ze dwa razy w tygodniu mama gotowała duży gar jedzenia dla niego, a ja szłam mu je zanieść. Kiedy mnie widział, drżał i płakał, a ja płakałam razem z nim. Skakał i szczekał, co łamało mi serce. Kiedy musiałam go zostawić, moje serce było zdruzgotane. Tak było zawsze dopóki żyliśmy w Riobamba.

Historia moich zwierząt toczyła się dalej. Mieliśmy też psa w Quito, wędrownego kundelka. Uciekał, kiedy tylko mógł. Pewnego dnia, gdy znowu zbiegł, władze miasta zdecydowały zatruć wszystkie bezpańskie psy w mieście. Oczywiście, mój pies był jednym z nich. Dotarł do domu, ale padł na progu drzwi. Zdechł na moich oczach. Później miałam kota, ale kiedy ty, droga Ruthie urodziłaś się, odebrano mi go, bo pielęgniarka stwierdziła, że koty nie powinny być blisko dzieci.

To właśnie w Riobamba dostałam moją pierwszą bieliznę od czasu kiedy wyjechaliśmy z Niemiec. Moja mama dowiedziała się, że gdzieś jest zakład, który produkuje bieliznę. Pewnego dnia podjechaliśmy tam i dostałam nową bieliznę. Najgorszy szmelc ze sztucznego jedwabiu, ale miałam w końcu nową bieliznę. Odkąd wyrosłam ze wszystkiego, co przywieźliśmy z Niemiec, nosiłam bieliznę po ojcu. Zwężałam ją w pasie i nosiłam. Taki był mój luksus.

Opuściliśmy Riobamba i przenieśliśmy się do Ambato. Pomiędzy Chambo, Riobamba a Ambato upłynęły trzy lata, więc w żadnym miejscu nie przebywaliśmy długo. Miałam dwanaście lat, kiedy przybyliśmy do Chambo, a kiedy miałam piętnaście przeprowadziliśmy się do Quito, gdzie żyliśmy kolejne sześć lat. W sumie spędziliśmy dziewięć lat w Ekwadorze.

Ambato było ładnym miastem w porównaniu do innych miejsc, w których mieszkaliśmy. Było tam już trochę imigrantów – niemieckich Żydów. Ambato było zielone z dużą ilością kwiatów. Nasze pierwsze, jakby to nazwać, „mieszkanie” było wytapetowane, a tapeta miała srebrne, świecące pasma ciągnące się z góry na dół. Wkrótce odkryliśmy, że to ślimaki pełzały po ścianach i to one zostawiały srebrne smugi.



W niedługim czasie przeprowadziliśmy się do domu na ładnej ulicy „Miraflores”, która nazwę zawdzięcza wszystkim pięknym kwiatom, drzewom owocowym i krzewom, które tam rosły. Dom był całkiem ładny. Wchodziło się po kilku schodach na werandę, a przez nią do dużego pokoju. Po każdej stronie były dwie sypialnie. Ostatnia sypialnia po lewej stronie była kuchnią lub mama zrobiła z niej kuchnię. Jako, że mama była dobrą kucharką, otworzyła tam restaurację. Mieliśmy jeden stół na werandzie i trzy czy cztery w dużym pokoju, który wychodził na werandę. Mieliśmy sporo klientów, Ekwadorczyków. Byli też ludzie, którzy zostawali na noc, w tym Grete i Heinz Leon. Przyjechali z Guayaquil (wybrzeża) i zatrzymali się na kilka dni a stracili właśnie swoje drugie dziecko. Nigdy nie zwracałam na nich uwagi, bo byłam taka młoda. Potem, kiedy oni i my przybyliśmy do Ameryki zostaliśmy bliskimi przyjaciółmi. Pewnego razu, kiedy grupa mężczyzn przechodziła obok naszego domu, jeden z nich niósł młode, myślałam, że psa. Zawsze kochałam zwierzęta. Powiedziałam, że było urocze, a mężczyzna złożył mi psa na ręce i powiedział „proszę, jest twój”. Okazało się, że nie był to pies, tylko młody wilk! Co to było za doświadczenie! Trzymaliśmy go na łańcuchu na zewnątrz, gdzie zakopywał każde jedzenie, które mu przynosiłyśmy. W nocy przykro mi było, że on jest na zewnątrz, więc zabrałam go do mojego pokoju. Biegał przez całą noc na łańcuchu i załatwiał się wszędzie, co tak wstrętnie śmierdziało, że zajęło całe tygodnie, by znów było czysto. Szczęśliwie, znaleźliśmy kogoś, kto miał hacjendę i przygarnął mojego dzikiego, futrzastego przyjaciela.

Po drugiej stronie ulicy mieszkały dwie imigranckie rodziny, niemieckich Żydów. Byli rzeźnikami. Byli bardzo mili i od czasu do czasu zapraszali nas w piątek wieczorem na kolację. Moja mama zaprzyjaźniła się z jedną z tych rodzin o nazwisku „Susskind”. Pozostaliśmy przyjaciółmi kilka lat. Pan i pani Susskind zmarli. Ich córka i syn, którzy byli trochę starsi ode mnie, także wyjechali do Stanów Zjednoczonych.

Rodzina Susskind i ich sąsiedzi, rodzina Horn, mieli dwa piękne duże psy. Kiedy jeden z nich miał szczeniaki, podarowali mi jednego. Był prześliczny. Pokochałam go i nazwałam „Bobby”. Po to, by go wytresować, by nie załatwiał się w domu, moja mama wypuszczała go na noc na zewnątrz i trzymała go na długiej smyczy. Po wielu tygodniach doszła do wniosku, że może wyjść bez smyczy, ale mój Bobby nigdy już nie wrócił. Byłam potwornie smutna kiedy się rano dowiedziałam co się stało. Pies uwielbiał miejsce przed domem, na schodach, które prowadziły do werandy i

jednocześnie wychodziły na ulicę. To stało się w dzień targowy, kiedy wszyscy Indianie przybywali dot Ambato, by sprzedawać swoje towary na targowisku, siedząc na ziemi. Było co najmniej pięć miejsc targowych, bardzo zatłoczonych, zakurzonych, brudnych itd. Indianie sprzedawali wszystko, co się dało: owoce, warzywa, zwierzęta i itp. Jedyna powód, jak sobie wyobrażaliśmy, dlaczego Bobby mógł zniknąć, to ta, że może jeden z Indian przechodząc koła naszego domu ukradł go. Hilde i ja obeszlśmy każde z targowisk i pytałyśmy każdego z Indian czy mieli psa na sprzedaż, mając nadzieję, że jeden z nich będzie miał mojego Bobbiego. Po wielu godzinach wróciliśmy do domu, jednak bez Bobbiego.

Pewnego razu dostałam też wspaniałego, żółtego kociaka angore, który miał wielkie, niebieskie oczy. Zachorowała po dniu lub dwóch. Od pierwszego dnia była tresowana i oczywiście spała ze mną. Tak osłabła, że nie mogła nawet zeskoczyć z łóżka. Zanim się zorientowałam, już odeszła. Takie były moje doświadczenia ze zwierzętami, gdy byłam dzieckiem.

Raz próbowałam sobie zrobić stanik, ale mi się nie udało. Jak widzicie, naprawdę żyłam w „luksusie”! Myślę, że nosiłam rzeczy po Hilde, z których już wyrosła. Nie pamiętam dokładnie, ale na pewno nie należałam do tych najlepiej ubranych. Nie miałam nic!

A Hilde i Albert pobrali się w naszym domu, w Ambato. To było bardzo zwykłe, żydowskie wesele.

W Ambato moja mama zapisała mnie do szkoły (Liceum Cevallo); bardzo ubogiej, ale dobrej szkoły. Uwielbiałam ją. Mój hiszpański stał się perfekcyjny a ja byłam bardzo dobrą uczennicą i otrzymywałam najlepsze oceny. Niestety, chodziłam do szkoły tylko rok, bo przeprowadziliśmy się znowu, tym razem do Quito, stolicy Ekwadoru. Kiedy mieszkaliśmy w Ambato, zaprzyjaźniliśmy się z dziewczyną o imieniu Rita, była chyba w wieku Hilde. Kiedy się dowiedziała, że przeprowadzamy się do Quito, powiedziała, że musimy odwiedzić „Horst” Abrahama („Tatusia”) i przesłać mu jej pozdrowienia. Wcześniej była jego dziewczyną, kiedy oboje mieszkali w hacjendzie (lecz nie blisko nas). „Tatuś” powiedział mi, że zwykł jeździć konno cały dzień do dżungli; tam kupował jedzenie, nocował i wracał na koniu do hacjendy, co zajmowało mu cały dzień.

Nauczyłam się też jeździć konno, kiedy mieszkaliśmy w naszej hacjendzie w Chambo. Hilde również. Nasz sąsiad pokazał mi jak wsiada się na konia. Na początku robiliśmy jedno, dwa kółka wokół naszego dużego podwórka. Wtedy otworzył bramę i pojechał galopem po całym Chambo,

a mój koń za nim, oczywiście. Byłam przerażona i musiałam się utrzymać za wszelką cenę. Ale udało mi się i potem wielokrotnie tak jeździłam. Uwielbiałam to. Mieliśmy dwa konie. Jeden był siwy, a drugi ciemnobrązowy. Ten drugi był bardzo żwawy, a siwy był spokojny i łagodny.

Wracając do zamieszkania w Quito – jak już się wprowadziliśmy poszliśmy do sklepu, gdzie pracował „Tatuś”. Pracował w małych delikatesach prowadzonych przez Niemców, którzy wyrabiali wszystkie pyszne niemieckie wędliny, kiełbaski itp. Wszyscy imigranci robili tam zakupy. „Tatuś” był bardzo przystojny i sympatyczny. Zanim zaczął pracować w delikatesach, pracował w Beneficiencia (naszym żydowskim klubie). To było zanim się poznaliśmy. Albert (mąż Hilde), Fritz Bergman i Helmut Schwartz także byli tam kelnerami. Wszyscy byli młodzi, przystojni i bardzo zabawni, psotni i wszyscy byli dobrymi przyjaciółmi. „Beni”, jak nazwaliśmy klub, oferował wszystko: restaurację, pokoje do gry w karty, sale balowe itp. Odbывały się tam potańcówki i zabawy, było dobre ciasto i kawa popołudniami, wszystko prowadzone przez imigrantów. Co więcej, moja mama piekła tam wszystko, a ja pomagałam, w szczególności przy dekoracji ciast.

Niedługo po tym jak przeprowadziliśmy się do Quito, podjęłam pracę jako praktykantka w salonie piękności (również prowadzonym przez imigrantów). Nie sądzę, żeby mi za to w ogóle płacili. Robiłam manikiur, myłam włosy, zakładałam wałki na trwałą itd. Wszystkie proste i brudne zadania. Nigdy wcześniej nie uczyłam się nakładać manikiuru i sama nigdy takiego nie miałam. Miałam wtedy jakieś piętnaście lat. Po roku mój szef powiedział mi, że mam odejść, bo nie chciał szkolić przyszłej konkurencji. Na pewno widział we mnie potencjał na taką konkurentkę. Wtedy chodziłam do domów prywatnych i nakładałam manikiur, układałam włosy dla wielu żydowskich dam. Nie cierpiałam tego. Robiłam to nawet wtedy, kiedy się pobraliśmy a zaprzestałam, gdy zaszłam w ciążę.

Ale trochę wyprzedzam fakty. Żydowscy imigranci otwierali biznesy w Ekwadorze: rzeźnicy, piekarze, cukiernicy, salony piękności, wiele odzieżowych sklepów, jubilerzy itp. Każdy się znał. Był klub sportowy (Macabi) i klub nocny, gdzie udawali się wszyscy młodzi ludzie, by potańczyć w sobotni wieczór. Podczas kiedy ja żyłam samotnie w hacjendzie, bez żadnych przyjaciół, młodzi ludzie w Quito dobrze się bawili. Zajął mi dużo, dużo czasu by się z kimś zaprzyjaźnić.

Kiedy przenieśliśmy się do Quito, „Tatuś” pracował w delikatesach prowadzonych przez Niemców a my chodziliśmy tam do sklepu. Pewnego razu zaprosił mnie na randkę. Możecie sobie wyobrazić – miałam piętnaście lat. Nawet ja sobie tego nie wyobrażam! Chodzi o to, że mieliśmy tak inne życie. Wszyscy imigranci trzymali się razem i każdy znajdował sobie kogoś. „Tatuś” był bardzo przystojnym, lubianym i pożądanym młodym mężczyzną. Zaczęliśmy się spotykać a potem wiadomo jak to się potoczyło. Przez pierwszy rok się spotykaliśmy. Po roku się zaręczaliśmy a po następnym pobraliśmy się, piątego marca, 1944. Byłam już dojrzałą dziewczyną w wieku siedemnastu lat. Moja mama urządziła wesele w naszym mieszkaniu. Oczywiście, pobraliśmy się w synagodze i tam odbyła się też ceremonia ślubu cywilnego. Wszystko było bardzo proste. Ktoś uszył mi suknię. „Iirmi”, moja szwagierka nalegała, że kupi mi bukiet kwiatów, które okazały się być białymi goździkami zakupionymi na ryneczku i wyglądały jak miotła. Jestem pewna, że obiad przygotowany przez mamę był pyszny. Na piętrze, gdzie mieszkaliśmy, naprzeciwko nas mieszkała uroczą, trochę starsza żydowska para, która miała restaurację. Na dzień ślubu oddali nam swoją jadalnię.

Kiedy mówię „restauracja” to nie mam na myśli tego, co sobie wyobrażacie. To było mieszkanie, prawdopodobnie ze przerobioną kuchnią, tak jak i u nas a największe pomieszczenie było używane jako jadalnia (restauracja). Krótco po tym, jak się pobraliśmy, właściciele sklepu, w którym pracował „Tatuś” zapytali go, czy chciałby ten sklep przejąć. Nie chodziło o zakup sklepu. Warunkiem przejęcia było to, by sprzedawał w sklepie towar, który oni wyrabiali – wędliny, kiełbaski, salami itp. pyszne i w niemieckim stylu. Biznes miał się dobrze.

W naszą podróż poślubną udaliśmy się do Banos i pozostaliśmy tam w hotelu prowadzonym także przez żydowskich imigrantów. Wszyscy nowożeńcy tam się udawali, jak również wczasowicze. Banos było w tym czasie bardzo ładne. Miało trzy baseny, jeden z lodowatą wodą, jeden z ciepłą, żółtą wodą siarkową i jeden z gorącą wodą siarkową; wszystkie z naturalnego źródła.

Nasz sklep był w domu na rogu zbudowanym z cegły suszonej w słońcu. Za sklepem były dwa małe pokoje i toaleta. W pierwszym pokoju zrobiliśmy kuchnię. Miałam jeden naftowy palnik i jeden elektryczny na małej kuchence; nie było w środku bieżącej wody. Kuchnia wychodziła na podwórko, gdzie była bieżąca woda. Mieliśmy zimny prysznic i cementowy zlew, w którym

robiliśmy pranie. Woda była lodowata. W drugim pomieszczeniu urządziliśmy pokój gościnny/jadalnię/sypialnię, wszystko w jednym. Był długi i wąski. Wszystkie meble, które mieliśmy pochodziły z odzysku, zakupione od imigrantów. Ale mimo to było przytulnie. Jako, że „Tatuś” znał mnóstwo ludzi, szybko zyskaliśmy przyjaciół, w większości starszych ode mnie. Każdy w moim wieku był jeszcze samotny, chodził na randki. „Tatuś” i większość naszych przyjaciół uwielbiali grać w karty i ja byłam wprowadzona w tajniki wielu pokerowych gier. Nigdy nie lubiłam kart, pokera, remika i żadnych tego typu gier.

W tym czasie żyło nam się dobrze. Jediną łyżką kroplę dziegciu dolewała moja teściowa. Nie była miłą osobą (delikatnie rzecz ujmując). „Tatuś” i ja wychodziliśmy często do kina, klubów itp. Beneficiencia dostarczała dużo rozrywek – potańcówek, przedstawień itp. Wszystko zorganizowane przez żydowskich imigrantów. Tańce nie należały do ulubionych rozrywek „Tatusia”. Nigdy nie chciał na nie chodzić, co przyprawiało mnie o łzy. Był o mnie bardzo zazdrosny i obawiał się, że ucieknę mu przy pierwszej lepszej okazji. Nie musiał się o to obawiać. Ale wtedy trochę się obudziłam, zaczęły podobać mi się tańce, momenty, gdy ktoś zwracał na mnie uwagę, próbował flirtować, wszystko to, co ominęło mnie w mojej wczesnej młodości. „Tatuś” tego nie rozumiał. Z mojej strony było to zupełnie nieszkodliwe.

Quito było trochę plotkarskim miejscem: mnóstwo plotek, zdrad itd. Każdy znał każdego i wiedział o sprawach innych. Ale było miłe. W sobotnie wieczory i niedzielne popołudnia wszyscy udawali się do kina. Mieliśmy dwa duże kina i dwa małe, takie w których siada się na drewnianych ławach, a ekran jest mniejszy od ekranu telewizora. Filmy były zawsze wielkim wydarzeniem, nie tak bardzo samo oglądanie, co spotkanie się wtedy ze wszystkimi. Pomiędzy seansami światła w kinie były zapalane i można było zobaczyć, kto z kim przyszedł, w co byli ubrani i tak dalej. To była najlepsza część. W między czasie zdążyłam się zaprzyjaźnić ze wszystkimi młodymi ludźmi. Prowadziliśmy naprawdę fajne życie, ale wtedy Quito było piękne, nawet jeśli było bardziej prymitywne niż wszystkie inne wielkie miasta w Ameryce Południowej.

Zamieniliśmy się mieszkaniem z moimi teściami, oni przyszli mieszkać do nas za sklepem, a my wprowadziliśmy się do ich mieszkania. Według standardów ekwadorskim, mieszkanie było bardzo ładne. Kuchnia była maleńka. Znow miałam dwa palniki i piecyk, który zapalałam raz w tygodniu,

by coś ugotować. Ale była tam ciepła woda. Drewno sprawiało, że garnki robiły się czarne! Musieliśmy przecierać je piaskiem na podwórzu. To był luksus!

Po dwóch latach małżeństwa zaszłam w ciążę. Ty, moja droga Ruthie, urodziłaś się. Od samego początku byłaś urocza. Byłam młoda, niedoświadczona, i zapewne popełniłam wiele błędów. Urządziłam ci całą wyprawkę zanim się urodziłaś. Wszystko ręcznie zrobione, bo niczego nie można było kupić. Miałaś ładny pokój obok naszej sypialni, który umeblowaliśmy dziecięcymi mebelkami zakupionymi od innych imigrantów, którzy mieli tyle szczęścia i sprytu, żeby uciec z Niemiec wcześniej i wszystko ze sobą zabrać. Do tego czasu prawie wszystkie młode pary już się pobrały zaczęły pojawiać się ich dzieci. Wielu z nas każdego ranka spotykało się z dziećmi w parku.

Każdy miał pomoc domową i my również. Mogłam popołudniu wyjść do Beneficency albo, by spotkać się z przyjaciółmi, którzy pracowali, itd. Rano gotowałam, jako że spożywaliśmy główny posiłek około południa. Każdy sklep zamykał się na dwie, trzy godziny, w czasie sjesty. Pogoda prawie zawsze była przepiękna, ale słońce w południe świeciło bardzo mocno i było gorąca, dlatego więc urządzano siestę.

Mniej więcej w tym czasie, w połowie lat czterdziestych większość imigrantów zaczęła opuszczać Ekwador. Dla niektórych z nich Ekwador e swoimi brudnymi Indianami nie był już wystarczająco dobry i szukali sobie lepszego miejsca. Większość udawała się do Ameryki. Niektórym nie powiodło się w Ekwadorze i liczyli na większe szczęście w Ameryce. Wielu pozostało w Quito i dorobiło się niewiarygodnych fortun. Z naszej rodziny, Hilde i Albert, Kurt i Irmie, rodzice „Tatusia” i moja mama tak jak i ciocia Clairchen opuścili Ekwador i przyjechali do Stanów Zjednoczonych. My zostaliśmy w Quito, ale wkrótce naszły nas myśli o wyjeździe. W końcu przecież cała nasza rodzina już tam była i pomyśleliśmy, dlaczego mamy zwlekać, skoro i tak do nich dołączymy.

Więc w lutym, 1948 roku opuściliśmy piękny, słoneczny Ekwador i przyjechaliśmy w brudny, ponury, zimny i czarny śnieg pokrywający Nowy York. W tym czasie palono wszystkie śmieci w krematoriach i czarna sadza wszystko zabarwiła na czarno. Nasze pierwsze wrażenie nie było miłe. Nowy początek w Nowym Yorku wcale nie był dla nas łatwym zadaniem. Hilde i Albert wynajęli nam umeblowany pokój w starym domu z brązowej cegły po drugiej stronie ulicy od

swojego mieszkania. Moja mama miała bardzo mały pokój, a „Tatuś”, Ruthie i ja mieliśmy niewiele większy ze zlewem w środku i wspólną dla wszystkich toaletą na piętrze! Co to było za rozczarowanie!

Spędzaliśmy dnie i wieczory w mieszkaniu Hilde i Alberta, które było większe i miało małą kuchnię. Moja mama gotowała dla nas wszystkich. Do naszego pokoju wracaliśmy tylko na sen. Zaledwie parę miesięcy później zdaliśmy sobie sprawę, że w naszych łózkach załęgły się pluskwy. Byliśmy przerażeni! Myślałam już, że mam jakąś alergię, bo każdego dnia rano budziłam się ze swędzącymi guzkami na ciele. Odkryliśmy to wtedy, kiedy mama gorzej się poczuła i pewnego dnia została na noc u Hilde i Alberta, a Albert przyszedł do nas. W środku nocy, kiedy był już cały pogryziony, poszedł do domu. Rankiem zapytał nas, czy zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że mieliśmy pluskwy.

Pracę podjęłam zaraz po przybyciu do Nowego Yorku. Szukałam sobie pracy jako manikiurzystka w salonie fryzjerskim. Słyszałam, że ktoś się tego podjął i spodobało mu się. Znałam co najwyżej parę słów po angielsku i Albert musiał mnie nauczyć, co mam mówić udając się na rozmowę o pracę. Oczywiście, pracę dostałam. Pracowałam cztery dni w tygodniu. Płacono mi dziesięć dolarów za dzień plus napiwki. Mój szef musiał być pod wrażeniem tak młodej dziewczyny, która była nieśmiała, niewinna była imigrantką, która prawie nie mówiła po angielsku. Poza nim było tam trzech fryzjerów i ze wszystkimi zaprzyjaźniłam się. Na początku na pewno pomyśleli, że trafiła im się taka młódka, z którą można się powygłupiać, ale szybko zdali sobie sprawę z tego, że byli w błędzie i obdarzyli mnie szacunkiem. Moja mama zajmowała się tobą, Ruth, te cztery dni w tygodniu. Miałam naprawdę miłych klientów i lubiłam pracować. Pracowałam tam trzy lata.

Wracając do naszych zarobaczonych pokoi, zdaliśmy sobie sprawę, że musimy wkrótce znaleźć sobie mieszkanie, co w tamtych latach, zaraz po drugiej wojnie światowej, było niemalże niemożliwe. Jeśli było tylko jedno krzesło w mieszkaniu, reklamowano je jako „umeblowane” i sprzedawano meble. Moja mama i ja, zarówno jak i „Tatuś” i ty (Ruth) rozglądaliśmy się po całym Nowym Yorku, by znaleźć mieszkanie.

W międzyczasie „Tatuś” też zaczął pracować zaraz po przybyciu do Nowego Yorku. Bardzo daleki krewny rodziców „Tatusia” był właścicielem firmy pakującej mięso i tam zaoferowano mu pracę.

Tylko Niemcy tam pracowali. Tata tyrał jak wół. Pracował od świtu do nocy. Poza tym połączenie z Brooklynu do Bronxu było kiepskie. W tym czasie nie było klimatyzacji w pociągach. Dodatkowo, metro latem było nie do zniesienia, a tam gdzie „Tatusz” pracował było jeszcze gorzej, bo szynki były gotowane i pakowane próżniowo. Nie wiem, jak on dawał radę, ale myślę, że młodość była po naszej stronie. Pracował tam dwadzieścia do dwudziestu pięciu lat. Troszczył się tylko o to, by zadbać odpowiednio o swoją rodzinę i bał się rzucić tę kiepską pracę, by dać sobie szansę w czymś innym. Nie mieliśmy pieniędzy. Jakiegokolwiek pieniądze, które otrzymaliśmy za nasz sklep w Quito wystarczyły tylko, by zakupić meble do jednego małego mieszkania w Nowym Yorku.

To na pewno była sobota, jego dzień wolny od pracy, a ja pracowałam, kiedy zobaczył ogłoszenie w gazecie o trzypokojowym, odnowionym mieszkaniu w prywatnym domu w Brooklynie, w Eastern Parkway. Poszedł tam od razu i spodobało mu się. Cena za wynajem wynosiła sto dolarów miesięcznie, co było wtedy fortuną. Inni płacili może czterdzieści do pięćdziesięciu dolarów miesięcznie za swoje mieszkania. Niemniej jednak, właściciel mieszkania, dentysta, nie chciał nam wynająć mieszkania, bo mieliśmy dziecko. Ogłoszenia większości mieszkań zawierały zapis „bez dzieci”. „Tatusz” był rozczarowany, ale może nie uwierzycie, następnego dnia, w niedzielny poranek, kiedy wszyscy siedzieliśmy przy stole i jedliśmy śniadanie, rozległo się pukanie do drzwi. Był to doktor Friedman, właściciel domu i mieszkania. Sądzę, że musiał upewnić się kim my byliśmy i czy ty (Ruth) byłaś dobrym dzieckiem.

Kilka dni później zadzwonił i mieszkanie było nasze. Było małe, ale nowe i czyste, a my byliśmy zadowoleni, że je dostaliśmy. Mieliśmy tam pokój dzienny, sypialnię, kuchnię i łazienkę. W lato można było umrzeć z gorąca, a zimą odmrozić swój tyłek. W tych latach nie było klimatyzacji. Dla mnie był to luksus. W końcu, w Ekwadorze nigdy nie mieliśmy wanny ani pieca (tylko kominek). Było tam także dobre sąsiedztwo. Było to miejsce bardzo żydowskie, z aleją drzew przy ulicy.

Jak tylko wyprowadziliśmy się z naszego zarobaczonego pokoju, około 1949 roku, do naszego małego mieszkania, moja mama pozostała z nami aż do swojej śmierci w 1959 roku. W międzyczasie przeprowadzaliśmy się jeszcze dwukrotnie. Do tego czasu znów zaszłam w ciążę. Z Eastern Parkway przeprowadziliśmy się do mieszkania z dwiema sypialniami w nowym kompleksie mieszkaniowym (Vanderveer), gdzie urodził się Stephen (1951). Kiedy miał pięć lat, a



ty, Ruth, dziesięć, przeprowadziliśmy się w obrębie tego samego kompleksu do mieszkania z trzema sypialniami. Tam wszystkim nam się podobało. Ty i Stephen mieliście wielu przyjaciół. Ja nauczyłam się grać w Mah Jong. My też mieliśmy wielu przyjaciół. Dużo graliśmy w karty i mieliśmy dużo towarzystwa. Wielkim problemem było to, że „Tatuś” zawsze pracował za dużo, zbyt wiele godzin. Wychodził do pracy, gdy jeszcze było ciemno i wracał, gdy już było ciemno. To właśnie wtedy, kiedy żyliśmy w tym mieszkaniu, moja mama się rozchorowała. Miała jeden wylew po drugim i w konsekwencji stała się „warzywem”. Opiekowałam się nią dopóki kontrolowała swoje czynności i mogła jeszcze jeść i pić. Zachorowała w 1958 roku, w sierpniu, a zmarła w marcu, 1959. Wtedy właśnie zrozumiałam co to jest ból serca, bo serce naprawdę mnie bolało. Jakże bolesne było widzieć jak mama gasła. W końcu musieliśmy umieścić ją w szpitalu. Jej ostatnie słowa to „Już nigdy nie wrócę”. To było ledwie westchnienie. Chodziłam do szpitala codziennie. Opieka była wtedy kiepska. Kiedy zmarła, poczułam wielką ulgę, bo wiedziałam, że już więcej nie cierpi.

W styczniu, 1968, zaaplikowałam o pracę w Metropolitan Life Insurance, jako, że ty, Ruthie, już byłaś mężatką, a Stephen miał siedemnaście lat i oboje byliście już bardzo niezależni. Pomyślałam, że czas już spróbować czegoś nowego. Byłam ledwo po czterdziestce, wystarczająco młoda, by coś zacząć od nowa. Byłam śmiertelnie przerażona, kiedy poszłam na egzamin. W końcu, nigdy nie uczęszczałam tutaj do szkoły i czułam, że nic nie umiem. Miałam wsparcie dwóch koleżanek, które udały się tam ze mną i które też chciały tam dostać pracę. No cóż, zdałam egzamin i dostałam pracę w Metropolitan. Pracowałam tam dwadzieścia lat. Uwielbiałam tę pracę. Odnoszono się do mnie z szacunkiem, doceniano mnie i lubiano. Moje dwie koleżanki też dostały tam pracę, ale nie zostały długo. Miałam to szczęście, że dostałam się do miłego działu i te dwadzieścia lat pracowałam tam, gdzie byli najmiłsi ludzie. „Mama Met” była dobrym miejscem dla mnie i dla wszystkich pozostałych pracowników.

Jeszcze dwukrotnie się przeprowadziliśmy. W 1978 roku przeprowadziliśmy się z Brooklynu do Forest Hills, w Queens, gdzie nadal mieszkam. „Tatuś” i ja oboje pokochaliśmy to miejsce i pokochaliśmy nasze mieszkanie. Ja nadal je kocham. „Tatusia” już ze mną nie ma. Tęsknię za nim i jest mi czasem samotnie. Ale w sumie, nadal lubię tu żyć. Było wiele wzlotów i upadków oraz trudnych wydarzeń po drodze. Największe wloty to wy, moje kochane dzieci, wnuki i prawnuki.

Były śluby, rozwody, choroby, zmartwienia i złamane serca, ale takie jest życie. Mam teraz osiemdziesiąt cztery lata. Trudno w to uwierzyć. Kocham was wszystkich całym sercem. Bóg mi naprawdę błogosławił i modlę się o to, by błogosławił i wam dobrym zdrowiem i długim, szczęśliwym życiem.

Z miłością, wasza Mama, Babcia i Prababcia,

2011